XII Kraków, 1. lipca 1909. Nr. 13.

„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki, 1 rbs. 25 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Zacisze 7. Telefon Nr. 479.

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Biuro G. Ungra, Warszawa Aleje Jerozolimskie 78.



— Puść mnie pan prędko — Mama zagląda! Mój Boże, co ja teraz mamie powiem, żeśmy robili?

— Głupstwo — jestem medykiem, więc niech pani powie, że panią badałem!....

— Nie uwierzy — bo wczoraj złapała mnie już raz, jak mnie znowu jeden filozof badał!....

Od Administracyi.



Z niniejszym numerem, rozpoczyna się III kwartał. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy uprzejmie o nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, kto bowiem do 10 bm. nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratorzy **galicyjscy** dla ułatwienia im przesłania prenumeraty, otrzymują w niniejszym numerze czek pocztowy, którym bez żadnej dopłaty za porto można pieniądze przesłać.

Prenumerata w Galicyi wynosi:

do 1-go października . . . 2 korony.
do końca roku . . . . . . 4 korony.

W Ces. Rosyjskiem i Królestwie Polskiem:

należy przesyłać przedpłatę do **Biura Ungra Warszawa** Aleja Jerozolimska 78.

w Warszawie bez odnoszenia do domu kwartalnie . . . . 1 Rbs.
na prowincyi już wraz przesyłką pocztową . . . . 1 Rbs. 25 kop.

Przy oświadczynach.

— Więc panno Zosiu, ja naprawdę mogę się nazwać tak szczęśliwym? Nie odstrasza pani moja łysina?

— Ach, nie bój się pan, już ja się postaram, że coś na niej wyrośnie!

Ze szkolnej ławy.

(Studentom na wakacye, by nie zapomnieli o szkole).

— Proszę pana psora, czy Parys i Helena mieli dzieci?

Profesor (w najwyższem oburzeniu): Poczekaj, poczekaj rozstrzygnie o tem konferencya!

Profesor: Świszczypalski! w ostatnich czasach spaźniasz się przynajmniej o kwadrans codziennie. Zapewne chcesz w ten sposób odbić ten rok, który straciłeś przez powtarzanie klasy!

Profesor: Co oznacza wyraz: Hemerydzi?

Uczeń: Nie wiem proszę pana psora! Jak tatuś choruje na homerydy, to jest bardzo zły i niecierpliwy.

Po całym potopie rozporządzeń Marchetowskich i Stürgkhowskich, co do sposobu odbywania egzaminu dojrzałości, po okólnikach Rady szkolnej i własnych rozmyślaniach, każdy z profesorów przyszedł dopiero do przekonania, że właściwie sam nie wie, czego ma od abituryenta wymagać. Ale od czegóż wszechwiedzący pan inspektor?

Illustracyą tego jest następujące zdarzenie, które miało miejsce w jednem z galicyjskich gimnazyów.

Profesor (do abituryenta): Proszę mi przetłómaczyć ten rozdział i objaśnić, co Herodot miał na myśli, pisząc to miejsce...

Inspektor (przerywając): Przepraszam pana profesora, ale proszę nie mieszać rozporządzenia Marcheta z roporządzeniem ekscellencyi Stürgkha....

Pytanie: Jaka jest różnica między nauczycielem, a nauczycielką?

Odpowiedź: Bardzo prosta! Nauczyciel każe powtórzyć lekcyę, gdy źle poszła, nauczycielka gdy dobrze...

Z wykładu: — Sziller opiewa Laurę począwszy od drugiego peryodu.

W szkole.

— Perlberger! Wylicz mi najokrutniejsze czyny cesarza Nerona!

Perlberger (który się na lekcyę nie przygotował). Oj... pan profesor jest takie delikatne osobe, ja wolę lepiej nie zaczynać, żeby pana profesora nie zmartwić!

Na targowicy na Groblach.

— No i powiadasz pan, że ten koń absolutnie nie ma żadnej wady?

— Żeby tak moje dzieci były zdrowe! Jak ja mówię nieprawdę, to niech się mój dom zaraz dziś spali....

-- Ej.... panie Afterduft — rzecze po cichu drugi handlarz do sprzedającego — i pan się nie boi tak przysięgać? Przecież pan wie, że ten koń ma kolki!

— Co ja się mam bać.... ja przecież dzieci nie mam, a mój dom jest zaasekurowany wyżej wartości!

W buduarze.

— Więc kupisz mi kotku ten jasny kostyum?

— Że też wy kobiety myślicie ciągle o ubieraniu!

— A wy znów zupełnie przeciwnie!

Z Belgii.

Pierwszy obywatel: Wiesz, że nasz król Leopold to ma bzika! Sprzedaje obrazy i uwielbia metresy!

Drugi obywatel: Co też gadasz, zwaryowany byłby, gdyby robił przeciwnie, t. j. uwielbiał obrazy, a sprzedawał metresy.

U kokoty.

— A czem jest proszę pani ten facet, który tu chodzi codziennie?

— To jest członek rady zawiadowczej Kraków-Kocmyrzów!

— A czy to przynosi wielkie dochody?

— Zapewne, za każde posiedzenie płacą mu pewną sumę.

— To zupełnie tak samo jak pani!

Ach ten idyota!

(Opowieść dla dorosłych chłopców).

W chwili, gdy pan Henryk doszedł do tego miejsca, w którem ścieżka nagłem zgięciem zwraca się ku willi, uderzyła w oczy jego nagła jasność, która z salonu, po przez otwarte drzwi balkonowe buchała i w ten sposób mąciła nastrój przecudnej nocy księżycowej.

To późne światło w salonie zastanowiło go, w willi tej bowiem wcześnie chodzono spać, a teraz była już blisko północ. Ale nagle strzeliło mu do głowy coś, co natychmiast połączył z owem późnem oświetleniem salonu. Oto pani Elżbieta, dama, która ową willę zamieszkiwała, wczoraj wieczorem podczas spaceru tak mimochodem zauważyła:

— Mój mąż jutro wyjeżdża!..

— Na myśl tę zaczęło serce pana Henryka bić z gwałtownością, z jaką tylko biją serca dwudziestojednoletnich młodzieńców.

— Ona mnie oczekuje! — pomyślał sobie. A jednak prawdę mówiąc, nie miał najmniejszej podstawy czegoś podobnego przypuszczać. Ich znajomość, polegająca na sąsiedztwie na letniem mieszkaniu, była po wszelkiej formie ceremonialnej i dotychczas wcale nie przekraczała owej granicy, po za którą słodkie, a zakazane marzenia, stają się słodką... rzeczywistością. Lecz sama myśl owa, że piękna pani oczekuje go, była tak oszałamiająco-boską, że z dwóch ścieżek, które teraz przed nim się rozpościerały, nie wybrał ścieżki, prowadzącej do jego mieszkania, lecz tę drugą, która wiodła do... nieba!... Zaiste! Snopy promieni, padających z lampy w salonie, działały na niego niby nieprzezwyciężona potęga magiczna, jak gdyby lampa świeciła tajemniczem jakiemś światłem magnetycznem!... I puścił się prosto ku światłu. Miał zaledwie piętnaście kroków do odbycia. Podczas tej krótkiej drogi, starał się możliwie najspokojniej rozważyć wszystkie szanse, jakie miał u młodej kobiety. Gdy stanął przed niskim parkanem, oddzielającym willę od strony drogi, doszedł, po mądrem rozważeniu wszystkich okoliczności, do następującego wniosku:

— Mimo swej piękności, dowcipu bogactwa, ta młoda kobieta absolutnie nie może być szczęśliwą. Jej mąż... hm!... czy ona wogóle ma męża? Czy ta ruina człowieka zasługuje na miano męża? Wprawdzie pani Elżbieta nigdy w tym kierunku się nie uskarżała, ale z drugiej strony faktem niezbitym jest, że dobrze ułożone kobiety nigdy się głośno na takie rzeczy nie skarżą. Tego należy się domyślać... A czy owa ubóstwiana, nie przyjmowała jego hołdów z owym sfinksowatym uśmiechem na ustach, który tyle znaczy, co serdeczna zachęta? A czyż dopiero wczoraj — gdy wspomniała o wyjeździe swego męża — nie powiedziała mu, że zanudziłaby się na śmierć tu na wsi, gdyby nie jego towarzystwo?... A potem, przy pożegnaniu ścisnęła go za rękę, wprawdzie nie znacznie, lekko, ale zawsze ścisnęła... Wiec dlaczegóżby było wykluczonem, że ona na niego czeka?

Oto bieg myśli człowieka, który rozumuje w gorączce, podnieconej bujną imaginacyą.

Lecz oto już jest na miejscu — zaledwo pięć kroków dzieli go od niej! Tęskne spojrzenie rzucił przez otwarte drzwi balkonowe do salonu. Tak! To ona! W pełni wdzięków swej upajającej piękności siedziała przy stole. Bujne czarne włosy, ułożone w prosty węzeł na tyle głowy, wskazywały, że piękna pani udawała się na spoczynek. Zresztą i jej nocna toaleta świadczyła o tem.... Śnieżny, niepokalanej białości penioar, pozwalał podziwiać marmurową inkarnacyę jej pełnych, okrągłych ramion. Otwarta książka leżała przed nią na stole, lecz ona nie czytała. Z głową, wspartą na rękach, siedziała nieruchomo, wpatrzona w światło lampy!..

— Czekała... zaprawdę! na niego czekała!...

* * *

Po cichutku, na palcach szedł po schodach — z zapartym oddechem odbył tych kilka kroków tak, że pani Elżbieta zauważyła go dopiero, gdy stanął na progu drzwi balkonowych. Zerwała się z krzesła i postąpiła kilka kroków naprzód. Stanęła nie ruchomo, niby posąg Wenus miłońskiej i błędny wzrok utkwiła w młodzieńcu. Potem zapytała zupełnie zimnym głosem:

— Czego pan sobie życzysz? Teraz?... o tej porze?...

Było to pytanie trochę drażliwe, na które Henryś nie odrazu znalazł stosową odpowiedź, tak, że młoda kobieta musiała po raz drugi zapytać:

— Czego pan chcesz odemnie, na miłość Boską, mów pan!

— Pani przecież wie....

Odpowiedź ta miała piorunujący skutek. Fala gorącej, purpurowej krwi zalała jej twarz, szyję, ramiona.... Nie odpowiedziała nu, lecz dumnie wyprostowana, majestatycznym ruchem ręki wskazała mu drzwi. Ale, gdy rękę wyciągnęła, szeroki rękaw nocnej sukni osunął się tak, że Henryś wcale nawet nie spojrzał na drzwi, które mu wskazywała, lecz na jej rękę. I nie ruszał się z miejsca. Wówczas gniew zabłysnął w jej czarnych oczach.

— Idź pan! — syknęła przez zaciśnięte usta- bo inaczej zadzwonię na służbę, aby pana stąd wy...

Lecz nagle umilkła. Podchwyciła błagalne spojrzenie młodzieńca i nie miała serca dokończyć tego obraźliwego słowa. Przeciwnie czuła coś, jakby współczucie dla tego nieszczęsnego śmiałka! I podczas gdy instynktownie zbliżała się do otwartych drzwi balkonowych, które łatwo mogły ją zdradzić, rzekła melodyjnie, miękko, prawie błagalnie:

— Nieszczęsny! Co czynisz? Czy mnie pan chce unieszczęśliwić?!... Wszak cały świat może pana widzieć u mnie...

I ponownie wskazała mu drzwi, ale już nie tak stanowczo, jak pierwej.

— Ach! droga pani!—odparł Henryś potulnie.—

Wątpliwe zadość uczynienie.

— No dzięki Bogu moja pani Maciejowa, ten łajdak, co to uwiódł pani córkę obietnicą małżeństwa, dostał miesiąc kryminału!

— E... co mi tam z tego, kiedy moja córka bez dziesięć miesięcy będzie musiała opłekiwać tę znajomość. I gdzie ta sprawiedliwość?

Z konstantynopolskiego piekła.

(Wyjątek z pamiętników zamordowanego hadży).

Już w czasie pierwszej potyczki z wojskami młodotureckiemi, trafiła mnie kula w głowę i przewierciła ją na wylot. Ponieważ jednak była ona przeznaczona dla stojącego obok mnie wachmistrza wojsk sułtańskich, zerwałem się z ziemi i umknąłem do Salonik, gdzie dostałem się do niewoli. W tej samej chwili napadł mnie na moście galackim jeden z zamordowanych trzystu oficerów, których liczba jednak, według urzędowych źródeł nie przekraczała dwudziestu pięciu i sądząc, że jestem sprawcą jego śmierci, pchnął mnie w samo serce sztyletem. Równocześnie otoczyły mnie dwa oddziały Macedończyków. Stawiony przed sądem wojennym, skazany zostałem na wygnanie w głąb Arabii. Naprzód jednak powieszono mnie przed par lamentem, obok nieszczęśliwego Nadir-agi. Wisiałem tam zaledwie do następnego selamliku, gdzie znów pomimo energicznej obrony, wtrącony zostałem do więzienia. W tem krytycznem położeniu było dla mnie jedynym ratunkiem, iż na mocy wyroku sądowego, zaszyto mnie we worek, obciążony wielkim kamieniem i wrzucono w nurty Bosforu. Z okrzykiem na ustach: Niech żyje konstytucya! utonąłem. Po niejakim uczasie udało mi się schronić do koszar artyleryi przy placu Taxim, gdzie jako dezertera, który nie odbył dotąd powinności wojskowej, wcielono mnie do armii. Ponieważ liczę dopiero lat czterdzieści sześć, spodziewałem się, iż przy pomyślnym zbiegu okoliczności, uda mi się może doprowadzić do ragi sierżanta i otrzymać certyfikat, co później uprawniałoby mnie do ubiegania się o posadę c. k. listonosza lub woźnego. Niestety w karyerze stanął mi na przeszkodzie smutny wypadek, na drugi dzień po zaasenterowaniu zostałem zastrzelony. Jutro popołudniu mam „wychód“, aby na swym własnym grobie odprawić przepisane przez koran modlitwy...

(Dalszy ciąg pamiętnika zniszczony).

NIEUNIKNIONE NASTĘPSTWA.

(Z motywów ludowych).

Franka była sobie dziewka
Zasadnia i dziarska,
Sam ekonom, gdy ją ujrzy
Jak ten ogier parska!

Sam pan dziedzic na jej widok
Kręci w górę wąsa,
A gdy dziewkę gdzie uszczypnie
Aż nim całym wstrząsa!

Franka była chytra dziewka
Wszystkiego świadoma
I wolała słusznie pana,
Niźli — ekonoma!

Niechno pójdzie prać do rzeki
Szmaty albo chusty
Niezadługo jest nad rzeką
I nasz dziedzic tłusty!

Pokazuje grube łydki
Przy praniu dziewucha,
A pan dziedzic obserwuje
I sapie i dmucha!

Tylko czasem ją przestrzega:
„Ugnij-że się Franiu!
Bo ci kiecka i koszula
Zmoczy się przy praniu!

Dziewka podnosiła kiecki
Zmoczona do nitki
I pan dziedzic mógł podziwiać
Jędrne, zdrowe łydki!

Tak pierała prawie codzień
Szmaty u tej *rzecki*
I na rozkaz Jaśnie Pana
Podnosiła kiecki!

Tak pod okiem Jaśnie Pana
Prała co wieczora,
A skończywszy swą robotę
Szła potem do dwora!

Dziś już dziedzic nie dogląda
Roboty dziewuchy,
I bez niego już — na płocie
Suszy znów... pieluchy!

W dzień ślubu.

Młoda para po weselu wraca w zacisze domowego ogniska. Pani robi się nagle słabo, ponieważ zanadto się zasznurowała. Małżonek, znający sposoby ratowania w nagłych wypadkach, udziela jej pierwszej pomocy. Powoli omdlała przychodzi do siebie, a widząc się w bardzo zdekompletowanej toalecie i nie poznając w półmroku swego własnego męża, rozgląda się ciekawie po pokoju, potem zapina stanik i kierując się ku drzwiom ze słowami:

— To już stanowczo ostatni raz.... jutro przecież mój ślub!

Skutkiem omdlenia straciła biedaczka chwilowo pamięć i mimowoli zdradziła się.

Z damskiej polityki.

— Czy też często masz z swym mężem debatę budżetową?

— Ależ broń boże, u mnie to załatwia się raz dwa, na tajnem posiedzeniu...

Znak rytualny.

Pani Feigelstock, bogata galicyjska żydówka, wybrała się do Wiednia w odwiedziny do znajomych. Korzystając z bytności w stolicy naddunajskiej, zwiedzała wszelkie osobliwości miasta, galerye i muzea. W muzem historycznem czuła się mocno zażenowaną, mimo swych 50 wiosen życia i odwracała z świętem oburzeniem swe oczy od nagich postaci greckich bożków i bogiń. Właśnie całe towarzystwo zatrzymało się przed kopią Apolina belwederskiego. Jeden z krewnych objaśniał drugiego, naturalnie jako prawdziwy galicyjski żyd w rodowitym żargonie:

— *Dus ist a griechischer Gott. Er war früher in einem Tempel!*

— Co... w templu? — woła pani Feigelstock z podziwieniem — a co on potrzebował robić w templu? Przecie on nie żyd?! — i dla pewności spoglądnęła przeh lornetkę jeszcze raz w stronę nagiej postaci.

W Salonikach.

Damy haremowe Abdul Hamida: Dobrze, zostaniemy tutaj, ale żądamy stanowczo, aby fukkcye młodego sułtana objął komitet złożony z Młodoturków.

Cały świat... cały świat... wszak teraz cały świat już śpi...

Powiedział to z taką dziecięcą naiwnością, że pani Elżbieta mimo poważnej sytuacyi tylko z trudem zdołała w sobie stłumić wybuch szalonego śmiechu. Szybkim krokiem wyszła na balkon i rozglądnęła się w około. Noc była cicha, spokojna. Kwitnące akacye siały upajającą woń wokoło, a blado-złote potoki światła księżycowego przykrywały ziemię niby mistycznym, a dyskretnym welonem.

— Nie... nie... — rzekła, wchodząc do salonu — to niemożliwe... pan... u mnie... o północy... a lampa...

Henryś stał przy stole. I zanim piękna pani dokończyła rozpoczętego zdania, Henryś zręcznym ruchem zakręcił lampę....

Posłuszna lampa zgasła...

* * *

Salon był teraz oświetlony *algiorno*, mdłem światłem księżycowem.

— A teraz niech pan idzie! — szepnęła pani ponuro.

Henryś się nie ruszał z miejsca przy stole.

— Więc niechże już pan idzie! — rzekła pani Elżbieta po raz wtóry, usiłując głosowi swemu nadać wszelkie cechy stanowczej i nieubłaganej surowości.

— Ach! Droga pani! Proszę się na mnie nie gniewać!...

— Przeciwnie mój panie! Ja się bardzo na pana gniewam!...

Henryś zbliżał się do niej i ujął ją za rękę.

— Pani wie... pani musi wiedzieć, jak ja panią kocham! — szepnął błagalnie.

Idąc utartą drogą, powiedział jej mniej więcej to samo, co przed wiekami Leander szeptał pani Herze, Tristan Izoldzie, a Romeo pannie Julii.

Piękna pani uważnie słuchała. Lecz gdy Henryś w swem wyznaniu miłosnem doszedł do finału, który jak wiadomo zawsze i wszędzie wyraża pewne gorące pragnienie połączenia ust we wzajemnym, oszałamiającym pocałunku, wówczas pani Elżbieta nie mogła go dalej słuchać.

— Milcz pan! — rzekła ostro. — Ani słowa więcej!... Pan dobrze wie, że nie wolno mi dalej słuchać pańskich wyznań!... Nie jestem wolną!.... Mam męża!...

Przy tych słowach uwolniła się z jego ramion, któremi obejmował ją i chciała się wymknąć; najpierw pobiegła na drugą stronę stołu, a gdy on za nią pospieszył, skierowała swe kroki tam do kąta salonu, gdzie stał szezlong. Lecz instyngtownie w tej chwili zrozumiała, że szezlong nie jest odpowiednią w takiej sytuacyi kryjówką... zerwała się... lecz było już za późno!... Henryś stał przed nią i zamykał jej wszelki odwrót!...

Wówczas, drżąc na całem ciele, pojęła, że teraz, aby sobie nic nie mieć do wyrzucenia, musi uciec się do ostatniej broni każdej kobiety.

— Nie!... nie!... — szeptała zbielałemi wargami. — Nie!... opuść mnie pan!... Zaklinam pana na wszystkie świętości!... Ja bym tego nie zniosła!... To niemożebne, aby pan traktował mnie jak jaką zwykłą kobietę!... Idź pan! Jestem w pańskiej mocy... przyznaję... ale pan jesteś dżentelmenem, który przecież nie będzie nadużywał położenia biednej, bezbronnej kobiety!... Idź pan!... Błagam pana!...

I osunęła się przed nim na kolana. A gdy tak przed nim klęczała z rękami jakby do modlitwy złożonemi, padł na jej bladą twarzyczkę promień księżycowy i otoczył ją, jakby aureolą świętości. Henryś odkrył w jej rysach coś boskiego, nieziemskiego. Nadzwyczajne wrażenie spiorunowało go!... Dłuższą chwilę stał w milczeniu. Wreszcie ciężko westchnął, jakgdyby się przebudził z dręczonego snu, schylił się ku niej i pocałował ją — w rękę.

— Niech się... pani... nie lęka!... — szepnął....

I szybko, nawet nie patrząc po za siebie, skierował się ku drzwiom.

* * *

Pani Elżbieta zerwała się z klęczek i przyciskając ręce do gwałtownie bijącego serca — nadsłuchiwała. Słyszała szmer jego kroków, jak szedł ścieżką ogrodową, świeżo żwirem wysypaną, następnie słyszała, jak furtka w ogrodzeniu delikatnie się zamykała. Pospieszyła do okna i widziała, jak się prędko oddalał ścieżką, zalaną potokami światła księżycowego. Jej duże, czarne oczy otwierały się coraz bardziej i z zapartym oddechem nadsłuchiwała, czy nie zawróci!?

Nie uczynił tego!...

A gdy młodzieniec, doszedłszy do zgięcia ścieżki i nagle znikł jej z oczu, wówczas piękna pani przycisnęła płonące żarem czoło do zimnej szyby, a z ust jej zaciśniętych wyrwała się żałosna skarga:

— *Idyota!...*



U Abdulka w Salonikach.

Ponieważ jest znanym objawem szlachetnego charakteru, a taki mam zaszczyt posiadać, iż nie zapomina się o przyjacielu, gdy on nagle znajdzie się w przykrej sytuacyi, korzystając z feryj Bożego Ciała udałem się do Salonik, aby odwiedzić i pocieszyć Abdul Hamida, z którym przecież niedyś wiązały mnie serdeczne stosunki. Właścicielem willi Aladini, gdzie wola Opatrzności i Młudoturków usadowiła byłego sułtana, jest rodak nasz, pan Porada-Rapoport, nie stawiał mi więc przeszkód, bym zwiedził odziedziczoną przez niego posiadłość. Na wszelki wypadek wziąłem ze sobą kilka numerów „Bociana“ i portret Borowskiej, aby rozerwać biednego pustelnika.

Już o ósmej rano we czwartek zapukałem do bramy ogrodowej. Wyszedł jakiś cerber z kluczami za pasem i rewolwerem w dłoni, nie wyglądał jednak wcale na Młodoturka, gdyż był piekielnie stary niczem bł. p. Belzebub.

— Czego żądasz effendi? — zapytał mnie nosowym głosem.

— Puszczaj kołtunie! — odparłem ostro i sięgnąłem do kieszeni. Myśląc, że dostanie bakczysz, cofnął się pan dozorca, ja zaś wydobyłem błyskawicznym ruchem browning, który niegdyś Borowska dała mi na pamiątkę i celnym strzałem położyłem go trupem na miejscu.

Na odgłos strzału zbiegli się eunuchowie w liczbie aż dwu i kilku żołnierzy ze straży:

— Czy nie poznajecie mnie cymbały! — kuknąłem piorunującym głosem — jestem wielki wezyr psie syny!

Padli na twarz w pokorze, każdy pomacał się po szyi, jakby czując na niej młodoturecki stryczek, a ja bez przeszkody dotarłem do drzwi pałacu, gdzie mnie piastunka byłego sułtana, sto jedynaście lat licząca Fatma, obecnie pierwsza dama jego dworu serdecznie uścisnęła i gorący pocałunek złożyła na mem czole, od którego aż mróz przeszedł po mych kościach.

— Witaj Bocianie! — rzekła po turecku — już tak dawno czekam na ciebie i bez skutku!

— O nie bój się stara wiedźmio! — mruknąłem po polsku — już ty się z Bocianem w życiu nie spotkasz! — a po turecku dodałem: — Prowadź mnie do swego pana!

Gdym wszedł do pokoju, zastałem sułtana zajętego czytaniem „Nowej Reformy“. „Czas“ i „Głos Narodu“ leżały już obok przeczytane i pocięte w drobniejsze kawałki do wiadomego użytku.

— A tam ki dyabeł znowu? — zabrzmiał głos, a sułtan z pod okularów rzucił okiem, jakie robi żyd, gdy spotka na ulicy psa w kagańcu. Skoro jednak mnie zobaczył, rozpogodziły się jego lica, odetchnął spokojnie, powstał i wschodnim obyczajem potarł nosem swym dostojnym o mój nos, przyczem obaj kichnęliśmy jak na komendę.

— Oby Allah rozmnożył cię, jak gąsienice na kapuście! Niechaj cię obsiędzie szczęśliwość w takiej ilości, jak liczba radców, wszelkiego rodzaju w Krakowie. Witaj znany przybyszu!— prawie bez odpoczynku wygłosił gospodarz. — Nie siadaj na tym stołku, gdyż jest przedziurawiony... na tamtym także nie, w nim ukryty jest sztylet...! Najlepiej siądź sobie na podłodze obok mnie, stąd przynajmniej nie spadniesz, jak ja z tronu. Co słychać nowego?

— A nic! Wszystko stare! Cóż porabia wasza sułtańska Mość?

— Co ja porabiam? Ot biedny sierota nawet nie wiem gdzie jestem, czytałem w jednem z krakowskich pism, że w jakiejś wsi arabskiej, w drugiem, że na wyspie Rodus, w trzeciem, że stanowczo w Salonikach! Czy to prawda co piszą o Borowskiej?

— Niestety, przeważnie prawda!

— Dzielna baba! Gdyby nie to, że jestem Staroturkiem, wziąłbym ją zaraz do swego haremu... Ach, żebyś ty wiedział, jaki ja mam kłopot z temi babami, które ze sobą tu zabrałem! Wołają ciągle na mnie, żebym przystąpił do Młodoturków, w przeciwnym razie grożą ucieczką. Powiedz, co robić? Radaby dusza do raju! Może znasz jaki środek?

— A próbował sułtan johembinki?

— Cóż to znowu za środek?

— Jest to materya wybuchowa, polecana przez powagi lekarskie! Jeszcze nie było wypadku, by po użyciu nie nastąpiła eksplozya, niczem w Woli Duchackiej pod Krakowem.

— E... takiej znowu nie pragnę!

— Lepszy rydz jak nic. Na wszelki sposób proszę spróbować, mam tu przy sobie wystarczającą dawkę.

Wiedząc, że mnie obawiać się nie potrzebuje, zażył sułtan podany specyfik. Nie upłynęło dziesięć minut, które spędziliśmy na przyjemnej a pouczającej pogawędce, gdy sułtan zaczął się kręcić niespokojnie i oglądać na drzwi wiodące do haremu!

— Wiesz... zdaje mi się miałeś racyę! Jeśli się spełnią moje pragnienia, możesz być pewnym, że cię sowicie nagrodzę! Czuję, jak nowe życie wstępuje w moje członki! — To rzekłszy pobiegł w stronę drzwi haremowych, z za których rozległy się wołania: — Fatmo! gdzie Sulejka i inne panie?

— Panie? poszły na spacer, nie wrócą jak za godzinę! — brzmiała odpowiedź wygłoszona poważnym głosem,

— Skaranie boskie! Nie mogły sobie pójść kiedyindziej. Co ja zrobię, a nuż lekarstwo przestanie skutkować! — słyszałem jeszcze zniecierpliwiony głos ex-sułtana.

— Cóż ja na to poradzę? — odezwał się niepewny głos, poczem zupełna cisza nastała w całym domu.

— — — — — — — — — — — —

Nie mogąc się doczekać powrotu sułtana, wyszedlem na ogród i siadłem na ławce w cieniu rozłożystego eukaliptusa. Po chwili sen zmorzył me powieki i zasnąłem. Jak długo spałem, nie wiem, ze snu obudziło mnie dotknięcie w ramię. Przede mną stała Fatma, stara piastunka sułtana i z głęboką wdzięcznością wyszeptała czule:

— Effendi! Tobie zawdzięczam szczęście, jakiego nie zaznałam od lat siedmdziesięciu ośmiu! Bądź błogosławiony!

BALLADA ZBÓJECKA.

Swego czasu żył zbój słynny
I srogością i urodą,
Z twardem sercem, dzikim wzrokiem,
I prześliczną czarną brodą!

Bandę miał z dwunastu ludzi
Uzbrojoną po zbójecku,
Dziki herszt w swej krwiożerczości
Nie przepuścił nawet dziecku!

Każdy dzień był nowym świadkiem
Nowych łotrostw, nowych zbrodni,
Babie zdarł ostatnią kieckę
Chłopa obdarł aż do spodni!

Żydom towar brał i pieniądz,
Chwytał sztyfet, groził kulą —
Kradł dziewczętom — medaliki,
Które noszą pod koszulą!

Raz przejeżdżał przez las kupiec
Gdzie miał zbójca swe ukrycie —
Ach! nie wiedział jak naraża
Swoje mienie, swoje życie!

Wiózł bakalie i małmazye
Słodki szafran i korzonki —
Ale wszystkie te słodycze
Niczem wobec jego żonki!

Przytuleni k'sobie trwożnie
Przejeżdżali przez las konno,
Gdy głos zbójcy zabrzmiał: „Złaź-no!
Kawalerze! złaź-no Donno“!

Cały zapas mu zabrali
Tych małmazyi i słodyczy,
Ale na tem nie poprzestał
Herszta popęd rozbójniczy!

Odpokutowali bowiem
Gdy zbój dziki zawrzał gniewem:
Nieszczęśliwy mąż — na drzewie,
Żona jego zaś — pod drzewem.

Na plantacyach.

— Panno Zosiu, jak widzę, to pani się tu nudzi!
— Raczej powiedz pan, że pan mnie nudzi!

Z prawdziwych zdarzeń.

W czasie uroczystego obchodu rocznicy bitwy pod Aspern, urządzonego przez oficerów stojącego w pewnej miejscowości pułku dragonów, miał wygłosić okolicznościowy wiersz zaproszony w tym celu specyalnie z Wiednia jeden z pierwszorzędnych artystów dramatycznych.

Gdy pokazał się na estradzie w eleganckim fraku, młody porucznik, który aktorów uważał za ludzi jakiegoś podrzędniejszego gatunku, rzecze do sąsiada:

— Uważasz, jaki ma porządny frak? Ten chłop musi pamiętać lepsze czasy!

TEMPORA MUTANTUR.

Przed rokiem, gdy ją znałem,
Ach! szwaczką była biedną
I nad niewdzięcznem szyciem,
Spędziła noc niejedną.

Boleśnie było patrzeć
Na postać jej *zgarbioną*,
Na cudną tę dziewczynę,
Nad pracą *pochyloną*.

Dziś tryb zmieniła życia
(Co mówię prawda święta)
Dziś nocką też pracuje,
Lecz nigdy nie jest zgięta.

Po oświadczynach.

Mama: Nie mogę dać panu odrazu stanowczej odpowiedzi, gdyż pana prawie nie znam. Muszę pierwej zasięgnąć wiadomości, czy pan jesteś uczciwym człowiekiem.

Konkurent: O... i owszem! Proszę się zwrócić po prostu do któregoś biura informacyjnego. Za kilka dni się zgłoszę, bo sam jestem ciekawy rezultatu.

DOBRA RADA.

Na ulicy raz dziewczęcia,
Spotkał typ uroczy
I ścigając swój ideał
Tuż, tuż za nią kroczy!

Nagle piękność się odwraca
W oburzeniu, wstydzie:
„Czego pan — zapyta gniewnie —
Ciągle *za mną* idzie?“

A lowelas jej z ukłonem
Na to odpowiada:
„Bez urazy, panieneczko,
Jest i na to rada!

Wskaż mi dom twój i ulicę
Podaj odpowiednią —
A nie będę szedł już *za nią*,
Ale pójdę *przed nią!*“

W Konstantynopolu.

Dwie młode angielki zwiedzają osobliwości stolicy Turcyi. W czasie oglądania pałacu sułtańskiego, pokazuje im przewodnik ogromnego mężczyznę, jednakowoż bez zarostu i mówiącego nader cienkim głosem.

— Proszę, niech się panie przypatrzą temu człowiekowi! — rzecze do nich przewodnik — to jest dowódca sułtańskich eunuchów. Bardzo wysoka godność dworska, ulubieniec sułtana...

— A czy ten urząd jest może dziedziczny? — pyta na to młodsza z turystek.

Dobry przykład.

Nauczyciel: Co znaczy na polskie *bis dat qui cito dat*?

Uczeń: Podwójnie daje, kto daje prędko.

Nauczyciel: Dobrze! Daj mi na to jaki przykład.

Uczeń: Nasza kucharka wyszła w tym roku za mąż. W cztery miesiące po ślubie przyleciał do niej już bocian i przyniósł jej bliźnięta!

Honny soit...

Żona: Co? Damską podwiązkę znajduję w kieszeni twej zarzutki? To jest nikczemność, podłota! Och ja nieszczęśliwa, on mnie oszukuje! On mnie zdradza! Ja ci oczy wydrapię, ja się utopię, a tobie potem obleję twarz witryolem!

Mąż: Ależ aniołeczku! Uspokój się! Podwiązkę tę znalazłem w mieszkaniu mego wspólnika... Wiesz przecież, że on jest kawalerem... więc schowałem ją, aby sobie zrobić szopę... Toż to będzie frajda, myślałem, jak ją wieczór pokażę w klubie... Ale na nieszczęście, zapomniałem.

Żona: U wspólnika ją znalazłeś? W jego sypialni? Powiedz temu staremu rozpustnikowi, że to podłość, łajdactwo, że powinien się wstydzić...

Mąż (zatyka sobie uszy i wychodzi pospiesznie)..

Żona (kończy już spokojniej): ...Tak lekkomyślnie i nieostrożnie obchodzić się z mojemi rzeczami!

(Odwraca się do ściany i zapina znalezioną, swą własną podwiązkę).

Na przykład i podobieństwo boskie.

Pewien milioner amerykański, leżąc na łożu śmierci, wezwał do siebie pastora, aby w jego obecności zeznać swą ostatnią wolę i sporządzić testament.

— Spodziewam się — zauważył pobożny kapłan — że pan przeznaczy swój majątek na otarcie łez nieszczęśliwym. Rozdzielając go między biedaków, spełnia pan wolę Najwyższego!

— Ani myślę — odpowiada konający — bo toby właśnie sprzeciwiało się woli Boskiej. Mam zamiar i stanowczo tak zrobię, że majątek swój podzielę w równych częściach między Rotszylda, Bleichredera, Pierponta, Vanderbilda i Morgana...

Pastor aż zdrętwiał z przerażenia.

— Tak, pobożny mężu — ciągnął dalej konający — w ten sposób wypełnię najlepiej wolę Stwórcy, który przecież w swej najwyższej mądrości wszystkie największe majątki dał tylko milionerom!

Pod wpływem strachu.

W pewnym hotelu szwajcarskim wynajął pokój Anglik, odbywający podróż turystyczną po Alpach. Kładąc się spać, polecił kelnerowi, aby go nazajutrz obudził o ósmej rano. Stało się według rozkazu, nie pomagały jednak żadne wysiłki, bicie do drzwi, ruszanie klamką i wołania. Anglik spał jak zabity i chrapał, niczem komina Dreadnoughta...

Wreszcie wpadł kelner na dobry pomysł.

— Sire! — zawołał — inwazya niemiecka! Zeppelin nad Londynem!

Jednym susem był już Anglik na podłodze, przewrócił szafkę nocną, wraz z umieszczonem w niej porcelanowem naczyniem i przerażony schował się pod łóżko!

Z wykładu biblii.

Ksiądz katecheta nie mógł przybyć na lekcyę do wiejskiej szkółki, musiała go więc zastąpić nauczycielka, młoda osoba, wychowana według nowoczesnych zasad. Na lekcyę wypadała nauka o sądzie ostatecznym. Biedna nauczycielka wysilała swój mózg, aby dzieciom, o ile sama wiedziała, objaśnić ten rozdział i tak zakończyła:

— A następnie zwróci się Bóg do tych, którzy stali na prawicy i powie im: Wy jesteście sprawiedliwi i dlatego pójdziecie do królestwa niebieskiego — zwrócony zaś do stojących na lewicy rzeknie: — Idźcie precz, wy mnie denerwujecie!

Na dworcu kolejowym.

— Proszę o bilet trzeciej klasy do pociągu pospiesznego do Wiednia.

— Ma pan jeszcze czas, pociąg pospieszny odchodzi dopiero za dwie godziny!

— No... ładne porządki kolejowe... pociąg pospieszny i dopiero za dwie godziny odchodzi! Proszę o księgę zażaleń!

Roosevelt w Afryce.

(Od naszego specyalnego sprawozdawcy).

Jak wiadomo, prezydent Roosevelt, po przejściu w dobrze zasłużony stan spoczynku, udał się w podróż do Afryki. Rząd Stanów Zjednoczonych zwrócił się do swych afrykańskich reprezentantów z poleceniem, aby ex prezydentowi ułatwiali podróż, to też mister Beufsteacke, amerykański konsul w jednej z miejscowości w głębi Afryki, już na miesiąc przed przybyciem gościa zabrał się ochoczo do dzieła. W miejsce, którędy lwy zazwyczaj przechodziły, a które na kilometr wokoło otoczono strażą, znoszono codziennie zabite krowy i cielęta, które lwy, zdziwione taką uprzejmością, spokojnie spożywały i jakby przeczuwały, że nikt im nie przeszkodzi w poobiedniej syesćie, spokojnie układały się do snu. Przez miesiąc tak się przyzwyczaiły bestye do nowego sposobu życia, że zaprzestały polowań, ale codziennie przychodziły na oznaczone miejsce, gdzie czekała na nie smakowita uczta. Roztyły się też bydlęta, niczem czeski piwowar! Gdy Roosevelt ze synem przybył do tej miejscowości, bez trudu i wysiłków wraz z synem zabił siedm lwów i trzy lwice, spoczywające spokojnie po smacznym obiedzie. Ponieważ nie wiedział o podstępie, a wspaniały wynik polowania przypisywał jedynie swemu myśliwskiemu szczęściu, był w znakomitym humorze i gdyby był cesarzem Wilhelmem, byłby niezawodnie wygłosił do murzynów wspaniałą przemowę.

Redakcya *Bociana*, nie szczędząc ani kosztów, ani zdrowia swego sprawozdawcy, byle Szanownym Czytelnikom przynieść autentyczną wiadomość wprost z miejsca, wysłała mnie do Afryki. Właśnie w tej miejscowości spotkałem się z Rooseveltem, wyprzedziwszy moją karawanę o kilka godzin drogi. Był w doskonałem usposobieniu i przyjął mnie nader gościnnie. Po obiedzie, który przeciągnął się do wieczora, udaliśmy się na skraj lasu, gdzie rozpalono ognisko, przy którem zasiedliśmy do taroka. Obaj Rooseveltci, tj. ojciec i syn, król najbliższego szczepu Kafrów, jego wysokość Bum-bung-bo, ubrany w wspaniałe szwimhozy i insygnia orderowe, przyczepione agrafkami do gołej skóry — no i ja, stanowiliśmy doskonały zespół. Graliśmy *königsrufera*.

W czasie gry zawiązała się między nami następująca rozmowa (naturalnie po polsku, gdyż ja nie umiem ani po kafersku ani angielsku):

Syn: Tato! Lew ryczy!

Ojciec: Głupiś synku! Po pierwsze, to nie lew ryczał, tylko ja ziewnąłem, po drugie, co mnie tam lew może obchodzić, gdy już ich tyle uśmierciłem, a po trzecie, gram asa pik!

Ja: Ten czarny cymbał usnął! Mister, czy mam go zastrzelić, czy też obudzić?

Ojciec: Obudźmy go! (Wszyscy razem strzelamy z rewolwerów w powietrze. Bum-bumg bo zrywa się z miejsca i odwrotną stroną medalu siada w sam środek ogniska. Z ust jego wyrywa się bolesny okrzyk: Oha, bunka nani! aiki... aiki! Stary Roosevelt zrywa się z miejsca, muskularną dłonią chwyta go za szwimhozy i rzuca na dawne miejsce).

Ojciec: Panie *Bocian!* Masz pan znakomitą sposobność. Pędź pan zaraz do urzędu telegraficznego i donieś swej redakcyi, iż przy pożarze uratowałem życie królowi murzyńskiemu. Urząd bardzo blisko, nie będzie nawet siedmiu godzin drogi konno!

Syn: Ależ papo! Znowu ty? Przecież przedwczoraj uratowałeś już życie! Teraz na mnie kolej!

Ojciec: E... co mi tam pleciesz! Kto się tam tobą interesuje w Krakowie! Zresztą wczoraj zastrzeliłeś trzy hipopotamy, które, nawiasem mówiąc, były już zdechłe...

Syn (z płaczem): Ja nie chcę strzelać zdechłych hipopotamów!...

Ojciec: No... no... już dobrze! Panie *Bocian*, obudź pan tę czarną małpę! Znowu usnął, stary kujon! Przecież ciągle spać nie może. Że też to bydlęta nie mogą znieść tutejszego klimatu, na to trzeba być ex-prezydentem!

Syn (z dumą): Albo jego synem!

Ojciec: Doskonale! Donieś pan o tem do Krakowa, jaki mój syn dowcipny. Napisz pan, że gdy to mówił, siedział na zabitym krokodylu i nic się nie bał!

Syn: Panie drogi... napisz pan, że na dwu!

Ja: Dobrze! Dobrze!

Ojciec: No, Bum-bung-bo! Obudzisz ty się, czy nie? Czy chcesz może, bym ci dla orzeźwienia wpakował nabój ptasiego śrutu poniżej pleców?

Bum-bung-bo: A co chce wielki biały człowiek zastrzelić lwa, lamparta, może tygrysa?...

Ojciec: Daj mi spokój ze lwami, o tem już w Europie nie chcą drukować! Od kilku tygodni na nic innego nie polujemy! Antylopy nie imponują także!

Syn: A możeby tak dla rozmaitości zastrzelić choć jednego wodza murzyńskiego?

Ojciec: To prędzej! Ale z tymi przeklętymi Europejczykami byłby kłopot! Berta Suttner narobi krzyku...

Syn: Co tam ojciec plecie! Ojciec nie potrafisz nigdy skorzystać ze sposobności. Nie trzeba to było Alicyi wydać za którego z książąt niemieckich, a mnie wsadzić bodaj na serbski tron, zamiast paskudzić się z tymi trustami...

Ojciec: E... stul jadaczkę, żółtodzióbie! Wychodzę skizem... Pagat złapany! Bum-bung bo, nie przerzucaj się! Uważaj! Szkoda, że nie zabiorę żyda!

Ja: Mister, ale co ja mam Redakcyi zatelegrafować?

Ojciec: No, najlepiej będzie, jak się ... mówimy. Niech już będzie: dziś trzy foki, jutro pięć białych niedźwiedzi.

Bum-bung-bo: Ależ tu niema żadnych fok, ani, broń Boże, niedźwiedzi białych!

Ojciec: Gadaj zdrów! Jak przed tygodniem nie było tu ex-prezydenta, a teraz jest, tak samo mogą być w Afryce środkowej foki i polarne niedźwiedzie! Rozumiesz? Mogliśmy je przywieźć ze sobą!

Bum-bung-bo: Melduję posłusznie! Rozumiem!

Ja: Słusznie, bardzo słusznie!

Syn: Ale... ale... wiesz ojciec, my jeszcze dotąd nie zastrzeliliśmy żadnego sprawozdawcy dziennikarskiego! To ci będzie heca! (To powiedziawszy chwycił za sztuciec).

Nie czekając dłużej, dosiadłem rumaka, przez pomyłkę nie swego i galopem puściłem się w stronę urzędu telegraficznego, gdzie nadałem następującą depeszę:

Bocian — Kraków.

Roosevelt w tej chwili jednym strzałem ubił siedm niedźwiedzi polarnych i pięć fok.

(Głupstwo: pięć, czy siedm, albo trzy, czy pięć, jedno słowo jednako kosztuje wedle taksy telegraficznej, czy ono brzmi tak, czy owak).

DWIE RÓŻE.

W ogrodzie róże dwie ujrzałem
Ach! Chwila była to szczęśliwa —
Z nich pierwsza była kwiatem tylko
A druga „Różą", się nazywa!

Obydwie błyszczą w swej urodzie
I spoglądają na świat dumnie —
Tego samego dnia — wieczorem
Obydwie róże były u mnie!

Kwiat — różę z krzaka jej zerwałem
I umieściłem w butonierce,
Dziewczynę znowu w pół ująłem
W tej stronie gdzie jej bije serce!

Zgasiłem światło w mym pokoju
A przy lichtarzu i karafce,
Skropiwszy wodą, aby nie zwiądł,
Złożyłem kwiat na nocnej szafce!

Nazajutrz z rana — niechaj tylko
Mnie nie zrozumie źle szyderca:
Zwiędniętą różę mam na szafce
A żywą — koło mego serca!

Pobożne życzenie.

— Mój Boże, nie pozostaje nic innego, skoro moja *stara* nie znosi tego, muszę *polowanie* zawiesić na kołku. Że też to odwrotnie nie można tego zrobić!



— Wie pan, dziwne jakieś uczucie opanowało mnie teraz. Pragnę czegoś, brak mi czegoś, czego nawet nie umiem nazwać....

— No, to możeby pani potrafiła pokazać...



— Powiedziałam Już panu raz, że z jego nic nie będzie!,...

— Ja też również tego nie pragnę, aby potem coś z tego być miało...



— Jacy ci mężczyźni głupi! Całymi godzinami włóczą się za tem, co mogliby mieć w ciągu pięciu minut....



— Pani dziś taka blada!....

— No to zdobądź-że się pan raz na coś takiego, abym się stała czerwoną....



— Podarłam sobie całą halkę przez ciebie a mąż mi nowej nie kupi!
— Możesz być spokojną, że ja także nie!



— Jak się panna nie wstydzi w halce na korytarz wychodzić! Gdyby to tak mój mąż zobaczył byłby oburzony!
— Niech pani będzie spokojna, on mnie już nie raz widział i wcale nie był oburzony.



— Ale pan doktór powiedział proszę pani, żeby pani ze względu na swoje serce, nigdy się sama nie kąpała!
— To też moja kochana, ja zawsze biorę do wanny fotografię mego męża...



— Co jest, że wiele razy od twej pani wychodzę, ona zawsze woła o panienkę na wodę?
— Bo ja wiem, pewnie pan baron musi być bardzo brudny...

Z politycznych anekdot i opowieści.

Pani R. żona jednego z austryackich mężów stanu, pojechała w odwiedziny do swych krewnych w Budapeszcie. Rzecz prosta, że w czasie rozmowy o wydarzeniach dnia zawadzono i o politykę.

— Wiecie, iż mi żal naszego cesarza — zauważyła pani R. w czasie pogawędki. — To jest brzydka bezwzględność, sędziwego człowieka, tak nękać polityką.

A nasz król cyociu — przerywa mała Ilonka, córka gospodarstwa — jest także już stary, a i jemu nie dają spokoju, tylko ciągle prześladują go jakąś koalicyą!

* * *

Opowiadają, iż w niebie spotkał się zmarły niedawno admirał Rożdżestwieński z ś. p. dowódcą angielskiej floty Nelsonem.

— A... to pan jesteś tym bohaterem, który kazał strzelać do rybackich bark pod Hull, biorąc je za nieprzyjacielskie torpedowce?... zauważył tenże z przekąsem.

— Hm — odparł na to z powagą Rożdżestweński — pańscy obecni koledzy nie zdobyliby się i na coś podobnego, takiego im Niemcy napędzili Piotra!

* * *

Od czasu, gdy w Anglii wybuchła epidemicznie nowa słabość zwana: Zeppelinitis, która objawia się tem, iż dotknięty nią osobnik patrzy ciągle w powietrze i febrycznie się trzęsie, poleciło angielskie ministerstwo na rozstajnych drogach posadzić grusze. Podobnie jak eukalyptus ma działać dobrze przeciw materyi, grusza pomaga na nową słabość, zwłaszcza, odkąd balon Zeppelina w swej napowietrznej podróży rozbił się o gruszę.

* * *

W Berlinie „pod Lipami“ spotyka się dwu przyjaciół, generał i tajny radca. Między obydwoma zawiązuje się natychmiast rozmowa, która schodzi na najważniejsze zdarzenie dnia t. j. spodziewany proces Eulenburga.

— I ekscellencya sądzi, że wreszcie proces Eulenburga dojdzie do końca? — zauważa generał.

— Nie wątpię! — odrzecze tajny radca — książę sam chce mieć już raz przecież spokój!

* * *

Że nasza kochana Austrya jest krainą wszelkich dziwów, pozna każdy choćby z tej okoliczności, iż gdy wszystkie mocarstwa Europy, a między nimi poszkodowana Turcya, i wszystkie państwa bałkańskie, a nawet Serbia, zgodziły się na aneksyę Bośni i Hercegowiny, jeden jedyny austryacki parlament nie załatwił się dotąd z tą sprawą, a temsamem jej nie uznał!

* * *

— Jak się ma Koszut?

— Dziękuję ekscellencyo za pamięć! Ciągle jeszcze źle.

— A cóż mu brakuje?

— Ostry reumatyzm stawowy!

— Tak?... a ja byłem pewny, że to chroniczny dualizm!

Nieporozumienie.

Słynny nasz liryk, pan Pegaźnicki, bawiąc niedawno w Zakopanem, wybrał się na wycieczkę do lasu. Czarujący widok obudził w mistrzu długo tajone uczucia, poczuł, że nadeszła chwila, w której gotów jest popełnić sonet, mający zachwycić świat cały. Treść i formę miał już w głowie, niestety, choć przetrząsł wszystkie kieszenie, nie znalazł ani kawałka papieru, by spisać owo nieśmiertelne dzieło. W tem ujrzał jakiegoś nieznajomego, wychodzącego z zarośli. Pędzi więc ku niemu i woła z rozpaczą:

— Panie! łaskawco! papieru!

— E... co panu po papierze, weź pan trochę trawy, zrobi panu tę samą usługę!

Kwiecisty styl.

Zbrodniarz (stojąc pod szubienicą, do swojego obrońcy). O... uprzejmości i gorliwości pańskiej, panie mecenasie, nie zapomnę do śmierci!

Z Turcyi.

— Jakoś nie widzę w Turcyi tej obiecanej konstytucyi!

— Nie widzisz? Proszę cię, przecież teraz już publicznie wieszają.

Z ruchu automobilowego.

Z okazyi odbytej niedawno jazdy imienia ks. Henryka pruskiego, sportowe czasopisma donoszą co następuje:

Do przeszłorocznych wyścigów zgłosił się już książę Eulenburg, aby, jeśli przypadkiem do tego czasu proces jego się nie ukończy, niespostrzeżenie mógł uciec z Niemiec.

W czasie tegorocznej jazdy Berlin Galicya-Węgry, zdyskwalifikowaną została jedna z uczestniczek, ponieważ dowiedziono jej, iż pod bluzką wiozła ze sobą ukryte dwa rezerwowe pneumatyki.

To samo stało się pewnemu sportsmanowi, który do automobilu współzawodnika włożył potajemnie kilka ślimaków, aby w ten sposób opóźnić tempo jego wozu.

W szkole sztuk pięknych.

— Niech pani, panno Zofio, nie robi nic z tego, każdy początek jest trudny. Dla zachęty mogę pani powiedzieć, iż jedna z mych uczennic, choć początkowo, tak jak i pani walczyła z technicznemi trudnościami, z czasem zrobiła świetną karyerę...

— Ach! To chyba niemożliwe!

— Ależ słowo pani daję, wyszła za mąż za milionera!

W Krakowskim parku.

— A pierwszy mąż pani doktorowej dawno już umarł?

— Czekaj pan, teraz mamy ośmioro dzieci... akurat będzie dziesięć lat temu!

* * *

— Wyobraź pan sobie, co za pech! Już od trzech lat marzę tylko o tem, aby wnieść skargę rozwodową z powodu obustronnego nieprzezwyciężonego wstrętu... a tu jak na nieszczęście, co rok mamy potomstwo!

Na wakacyach.

Ciocia do siostrzeńca, czternastoletniego kadeta z Łobzowa, który u niej spędza wakacye:

— Mój Józiu, jak będziesz grzeczny, dostaniesz cukierków!

— E... co mi tam cukierki! My wojskowi przyzwyczajeni jesteśmy do innych słodyczy.

Z leksykonu medycznego.

Teściowa — Atak nerwowy.
Pierwszy obiad — Zaburzenia w trawieniu.
Miłość — Bezsenność.
Zjazd koleżeński — Zatrucie alkoholem.
Pensyonarka — Bicie serca.



Na pańskiem.

(z motywów ludowych).

Ludzie ze wsi dziś „na pańskiem“
Nikt nie ostał *doma*,
Uwijają się pod okiem
Pana ekonoma.

Reprezentowaną była
Głównie płeć niewieścia,
Chłopców kilku jest zaledwie,
Dziewek ze dwadzieścia!

Pan ekonom nie pozwala
Na śmiechy ni zbytki,
Wszystkie plecy pochylone,
Podkasane łydki!

Jedna tylko Kaśka młoda
Głupia *nikiej* dziecko,
Nogi swoje zasłoniła
Niżej łydek kiecką!

Dojrzała tę niewłaściwość
Ekonomska władza,
Że zadługa jej zapaska
W robocie przeszkadza!

Kaśka! — podkasz że się ścierwo!
I w ruch puszczaj nogi!
Zwijaj się, bo zerżnę kijem! —
Krzyknął mąż ów srogi!

Ekonomska wola święta
Dla każdej najmitki,
Więc posłuszna pokazała,
Że ma tęgie łydki!

Wieczór, gdy oceniać przyszło
Żeńców pańskich dzieła,
Okazało się, że Kaśka
Najmniej z wszystkich zżęła!

Pan ekonom wie, że służy
Za pańską zapłatą —
Że za mało zżęła Kaśka,
Zerżnął ją sam za to!

Ciekawe wyroki sądowe.

Z powodu ostatnich zajść w parlamencie austryackim, orzekł najwyższy Trybunał, iż nazwanie kogoś *politykiem, przywódcą stronnictwa, mężem przyszłości* jest obrazą i jako takie jest karygodnem.

* * *

Przed sądem powiatowym w Krakowie toczył się ciekawy proces. Jeden z artystów malarzy zaskarżył pewnego pana, który miał o nim twierdzić publicznie, iż jest członkiem „*Sztuki*“. Sąd dopatrzył się obrazy honoru i wydał wyrok potępiający.

* * *

Pewna panienka, nieco już podeszła w latach, zaskarżyła swego byłego wielbiciela, który w czasie bitki uderzył ją w twarz i przy tej sposobności wybił jej dwa zęby. Brutalny człowiek skazany został na dwa miesiące więzienia z powodu uszkodzenia cudzej własności, pokazało się bowiem, iż fałszywa szczęka wprawioną była na raty i dotąd jeszcze nie zapłacona.

* * *

Pan X. znany krakowski lebeman, który o jednej z artystek teatralnych opowiadał, iż wstępuje w związki małżeńskie (może cudze? przyp. zecera), skazany został sądownie za szerzenie niepokojących wieści.

* * *

Jakiś ordynarny człowiek, który wpadł onegdaj w nocy do przybytku wesołych cór koryntu przy ul. Pawiej, zasądzony został na karę aresztu za przekroczenie przeciw bezpieczeństwu *publicznemu*.

Ferdek Eleuteryk.

A to ci szopa z tym nowym podatkiem Bilińskigo! Jak sie ino kawaliry zwiedziały, że bedom płacić wienkszy podatek, jeśli nimajom na utrzymaniu nikogo, szukajom na gwałt gdowy albo panny, ale co najmnij z dwoma dzieciami, bo żynić sie i dopiro czekać na potomstwo, na to czas nie pozwalo, gdyż podatek bendzie jeszcze w tym roku uchwalony. Z tyj właśnie racyi musze sie sprzeciwić moim zasadom kosmopoletycznym i puścić Mańke w trąbe a szukać jakij dzieciatyj brzany. Im pędroków bedzie miała więcyj, tym dlo mnie lepij, bo nie tylko nie bede potrzebowoł rządowi nic płacić, ale jeszcze ze štajerbanku może człek jakie hopy dostanie. Nimiołem serca powiedzieć o tym Mańce, prosiułem więc Wicka, żeby jij zrobiuł to odkrycie. Jak sie tam Wicek wzion do jenteresu, to nie wiem, ale po onyj rozmowie straśnie mu jadaczka napuchła. On powiado, że go ukonsiła jakoś złośliwo osa, ale zastrzygo sie, że jak mom jenteres do Mańki, mom sobie go odtąd som załatwiać.

Nie dziwie sie i onyj bidnyj brzanie, że ją tako żałość napadła, iż aż poczciwymu Wickowi podropała cyferblat, boć my już siedem roków razem żyjemy, a tu z woli Bilińskigo trzeba włazić na gwołt w Sakrament, a z Mańką brać rozwód od łoża i oleandrów. Wprawdzie nasze małżyństwo nie było nigdzie zahipotekowane, ino zgłoszone w partyi, ale teroz już tako moda, czyto w burżuazyi, czy w preletaryacie, że i takie ma walor. Z tego tyż powodu nie pojade z Mańkom na wylegiature w olejandry, ale zostaje w Krakowie i szukom sobie połowicy, ale kuniecznie dzieciatyj. Termin nadsyłania podań bez stempla do 10. lipca na rence komitetu dla równouprawninio brzan. Fotografii żodno panna nie potrzebuje dołonczać, ino mętryki krztu lub obrzezania swych bachorów.

Jeśli wszystkie kawaliry zrobiom tak samo, to Biliński nie zbierze z onygo podatku grubych hopów jak myśloł, a Binert mu powi: Do bani z ekselencyjom i jego projektem! Bedzie sie z tego cieszuł Stapiński i ludowce, bo sie opróżni jeden stolec, na którym można zrobić dużo złota, a powścikajom sie ze złości nasze baby, które teroz chcom Bilińskimu z wdzinczności postawić pomnik, abo choć kazać go wyrznąć na marmurze. Wybiro sie do Widnia cało dupetacyja dzieciatych brzan, razem ze swojem przychowkiem, żeby ekselencyji podzienkować. W Krakowie tak ci sie na gwałt żeniom, że majestrat założuł biuro pośrednictwa małżeństw, a księżom aż popuchły rence od kiwania kropidłem!

Mieliśmy w tamtym tygodniu wyścigi. Zjechały sie rużne stare škapy i przechodzone brzany, a kużden Krakowiok niós bodaj stare portczyska do żyda, żeby zebrać kilka fajgli i postawić na tytolizatora. Poknajałem i jo na Błonia, ale nic nie wygrołem, bom nie stawioł. Zato w krzokach nad Rudawom znalozłem jedwabnom halke i przyprawiany warkocz, które jakoś brzana w pośpiechu zostawiła. Jedyny prefit z wyścigów to mioł ten tytolizator i doliniarze, którym tego roku nie przeszkodzali sułany, bo oni pilnowali Puzyny, żeby mu akademiki nie zrobiły owacyi.

I jo prosto z wyścigów poszedem pod biskupi pałac, ale nie było tam nijakiej parady. Było dużo konwisorzy, burych i sułanów, wienc wolołem stamtąd zrobić odrazu wytyke, żeby czasem nie dostać sie pod Teligrof, bo tam bardzo duszne powietrze, a mnie dochtór Boczar kozoł używać dużo świzygo i jeszcze powiedzioł, żeby sie spieszyć bo Biliński gotów i świże powietrze opodatkować.

Ni mogło mi sie pomieścić w głowie, jak możno dać sę rade z takiem jenteresem i jak bedzie mógł rząd skontrolować wiele kto łyknuł powietrza. Sznaps to inksza inkszość, wiele blach spuścisz, za tyle trza gudłajowi zapłacić. Ale powietrze? Gdym tak chodziuł po plantach myślący a karkulujący, patrzę, a tu idzie mój znajomy woźny od fajansowej Dyrekcyji. Przywitołem go uczciwie bo to przecie urzędowo osoba i korzyst jąc ze sposobności, spytołem, czy to prowda, co dochtur Boczar pedzioł. On mi na to odrzek:

— Widzisz Ferdek, ten dochtur to mioł racyjom... My teroz musimy opodatkować rozmaite rzeczy, bo Austryja potrzebuje hopów na mondury dla wojska, na koszary, baluny i okręty. Wszystko już opodatkowane, więc sie cheba weźniemy do świżygo powietrza.

A ja mu na to:

— No dobrze łaskawy dobrodzieju, to projekt klawy, bo kużden potrzebuje świżygo powietrza, nawet Borosko choć siedzi u świętygo Michała... Ale jak skontrelować wiele kto go użył? Jo nimoge tego tyle płacić, co Staszczyk, bo moja deka jest przecie mnijszo!

— To bedzie tak! Każdy chłop czy brzana, dostanie dwie maszynki, jedne będzie nosiuł kole gęby i nosa, drugom na tylnej części. Pirwsza pokaże wiele wciongnuł powietrza, druga wiele już wypuściuł. Za różnice trzeba bedzie płacić. Tak jak z gazowni chodzi kontrolor i patrzy na gazometer, bedzie co pirszygo oglądoł kużdygo podatnika pon ze śruby podatkowyj. Popatrzy na maszynkę z przodu, zajrzy mu z tyłu, porachuje, a tamten zapłaci... Już robiom takie maszynki u blachorza.

— No... no... to klawy jenteres... ale my i tak wykiwamy rząd... Teroz bedziemy pić ino kminkówkę, to w człeku powietrza nic nie zostanie i rząd niewiele zarobi!

— E... głupiś Ferdek, ale przecie i kminkówka zdrożeje. Jeśli nie na powietrzu, to zarobiemy na wódce!

— Prowda... święto prowda...! przecie pon mosz głowe nie od parady. Powinieneś pon być ministrem!

— Czy jo głupi! Ministrem jezdeś brachu dziś, a jutro cie napendzom, a jo jezdem woźny za dekretem, to i djabeł som nic mi nie zrobi!

— Ha... na ten sposób to nijakiej rady nima, brachu płaciuł, żeby bylo ino z czygo! Powiadajom, że kto nimo czym płacić, ten może odsiedzieć, ale nie wszyscy na to sie chcom zgodzić. Na ten przykłod mój gospodorz, żem mu czynszu za komorke pod schodami nie zapłaciuł akurat na pirszygo, zrobiuł mi eksmisyjom i rumacyjom, a gdym poszed do nigo i proponowołem, że to odsiedze, to mnie ze schodów zruciuł i pożegnoł tak, jak książe Jiży serbski swego kamerdynera Kolakowicza. Te burżuje zanadto se pozwalajom, trzeba bedzie pokozać im, że partyjo, to nie w kij dmuchoł. Jak weźniemy sie ostro do dzieła, to bedzie wnet nowy porzondek. Miszkania bedom gratis, wódka gratis, a powietrze... to niech se ta opodatkujom!

Wyjazd na wakacye.

Godzina czwarta rano. Budzik, posłuszuy woli mej czcigodnej połowicy, która go wczoraj własnoręcznie nakręcała, wali jak najęty. Zrywam się z łóżka, myśląc, że się pali, w pośpiechu pantofel zamiast na nogę, pcham na głowę i pędzę ku oknu! Na ulicy spokój, ani żywej duszy. Oprzytomniałem. Po chwili przetarłszy oczy, rozglądnąłem się po sypialni, żona i córki śpią snem sprawiedliwych, zmęczone wczorajszem pakowaniem. Stara dmucha z pod kołdry, jak parowiec, córki rzucają się na materacach. Trudna rada, trzeba je zbudzić, gdyż dziś wyjeżdżają na willegiaturę.

— Hej... stara! — wołam szarpiąc żonę za rękę — wstawaj, już po czwartej!

— Zaraz... zaraz... jeszcze chwileczkę! Ach, jaki ty jesteś gbur! Przerwałeś mi taki śliczny sen. Śniło mi się, że byliśmy jeszcze narzeczeni i wieczorem siedzieliśmy w altance. Ty przytulałeś się do mnie, objąłeś mnie wpół... i już... już... chciałeś...

— E... ktoby tam wspominał głupstwa młodości! Co raz minęło nie powróci. Wyłaź z łóżka, budź dzieci, pociąg odchodzi o dziewiątej, gotoweście się spóźnić...

— Mój drogi idź do kuchni i obudź Kaśkę.... albo lepiej nie budź! Pójdę sama!

To powiedziawszy, westchnęła głęboko moja połowica, aż łóżko zatrzeszczało, poczem jednym susem, o ile naturalnie pozwalała na to jej tusza, znalazła się na podłodze. Deski ugięły się pod naciskiem 120 kilogramów żywej wagi, a po chwili w całym domu zapanował hałas i rwetes. Kaśka, która późno wieczór wróciła do domu, gdyż musiała pożegnać narzeczonego, ani myślała o opuszczeniu łóżka, w którem było jej tak słodko w objęciach Morfeusza, trzepaczka jednak, którą moja żona włada z niebywałą wprawnością, wnet przyprowadziła ją do równowagi umysłowej.

I córki ani myślały o wstawaniu, perswazya jednak z jednej strony matki — z drugiej moja, przypomniała im, iż dziś przecież wyjazd. Po chwili słyszałem tylko poszczególne zdania, powróciwszy do łóżka i nakrywszy się kołdrą, by mnie muchy w łysinę nie cięły.

— Kaśka zapal w piecu i ugotuj kawę!

— Mamo gdzie moje pończochy?

— Skaranie boskie z tą Zośką, wdziewa moją halkę!

— Kaśka, daj mi żelazko do zapiekania włosów!

— Zosiu! pożycz mi podwiązki, bo moja się już całkiem rozlazła!

— Stefka wlazłaś mi na nagniotek!

— Panienko! żelazko się gdzieś zapodziało, włożyłam do pieca pogrzebacz, to może na nim zapiecze se panienka włosy!

— Ty ciamaku przebrzydły.... pewnieś je już gdzie kawalerowi wyniosła!

— E... co ta panienka mówi! Coby on se zapiekał, kiedy on wąsów nie nosi!

— Kaśka, uważaj żeby śmietanka nie wykipiała!

— Mamo! moje majtki podarte!

— Ciekawam, kto tam będzie zaglądał....

Ta miła harmonia familijnych dyskursów tak mnie przyjemnie usposobiła, że po jakimś kwadransie chrapałem jak najęty. Jak długo spałem, nie wiem, obudziło mnie jednak gwałtowne szarpanie za rękę i głos mojej poczciwej połowicy, słodki i przyjemny, jak skrobanie nożem rondla:

— Pfe stary! Obeżresz się tam w knajpie, a potem w domu pozwalasz sobie za wiele! Stefka otwórz lufcik!

Spoglądam na zegarek, ósma. Żona i córki w tych samych strojach, jak były o czwartej...

— Czyście zwaryowały? Za godzinę pociąg odchodzi! Spóźnicie się! Skaranie boskie z temi babami!

— Wymyślaj.... wymyślaj.... gdybyś tyle miał na głowie, co która z nas, ciekawam, czybyś się nie spóźnił. Już godzina, jak Kaśka poszła po bułki i nie widać jej! To przeklęte dziwczysko! Zęby wybiję, jak wróci!

— E... dałabyś spokój, pewnie poszła pożegnać się z bratem!

— Wczoraj się żegnała!

— To może z innym!

— Głupiś! Sieć cicho! Ty ją zawsze bierzesz w obronę, to podejrzane! Muszę zbadać tę sprawę.

— A badaj sobie, jeśli ci się podoba, a mnie daj święty spokój, mnie się spać chce!

— Ładny mi ojciec, kiedy my wyjeżdżamy, to on chce spać!

Wreszcie wróciła i Kaśka, przywitana zaraz przy drzwiach potężnym kułakiem. W tem od okna odzywa się piszczący głos Frani:

— Mamo! pan Teofil jechał teraz na rowerze i widział mnie w koszuli! Jak ja mu się teraz pokażę na oczy!

— Głupia gęś z ciebie... Gdy się pobierzecie, to się do tego przyzwyczaisz!

— Ale kiedy my się jeszcze nie pobrali!

— Do kroć sto tysięcy beczek! Dacie raz spokój, czy nie! Ubierać się już. Ósma, spóźnicie się na kolej! — Odezwałem się już z wściekłością.

— Co?.... ósma godzina? Kaśka pędź po fiakra.

— Po fiiakra? Kiedy z was żadna nie ubrana? Ciekawy jestem, kto będzie za czekanie płacił, bo ja nie!

— Nic nie szkodzi, ubiorą się po drodze, pozapinam....

— A róbcie sobie do dyabła, co wam się podoba, a mnie dajcie spokój!

Godzina trzy kwadranse na dziesiątą, fiakier czeka już od pół godziny, Kaśka znosi pudła i pudełka na dół — żona i córki jeszcze nie gotowe. Mnie wściekła pasya odebrała mowę, gdybym mógł, powyrywałbym im nogi z korzeniami.

— Proszę pana, fijakier nie chce czekać, bo na dziesiątą gdzieindziej zamówiony — słychać słowa Kaśki, która wpadła jak bomba.

— To niech sobie jedzie na złamanie karku! — wołam wściekły.

— Tyran obrzydliwy! — wtóruje żona, a za nią chór córek.

Z miną filozofa, gdy wylazł z swej beczki, naciągając nogawicę nierymowanych, spoglądam na zegarek, potem na kochaną rodzinę i uśmiechając się złośliwie powiadam:

— Możecie się już spokojnie ubierać dalej! Za minutę rusza pociąg!

— O... ja nieszczęśliwa! — woła żona.

— A tam Teoś pewnie czeka z bukietem! — dodaje Frania.

— Mój Boże, to tak zawsze z matką! — z płaczem wyrzeka Zośka.

— A mówiłam, że trzeba było wstać o trzeciej! — konkluduje Stefka.

Myśląc, że może zegarek zepsuty, patrzę na zegar w salonie, dziewiąta jak byk! Na domiar wraca Kaśka i powiada:

— Fiakier złożył pudełka na trotuarze i odjechał!

— Co?.... ten łajdak śmiał. Mężu zaskarż go w policyi! Który numer?

— Trzynasty — odpowiada Kaśka...

Ogólna konsternacya i wytłómaczenie niepowodzenia. Rzecz naturalna, że odbije się to na biednej Kaśce, do której z pięściami przyskakują żona i córki.

— A ty ciućmaku! Jak można było sprowadzać trzynasty numer! Wytrącę ci na pierwszego tego guldena, którego miałam fiakrowi zapłacić.

— — — — — — — — — — — —

Nie czekałem już ani chwili, lecz popędziłem do biura, pewny, że jutro rano czeka mnie ta sama przyjemność. Niema to, jak żonatym!

W szkole.

— Moritz ty mi potrzebujesz powiedżycz, jak opiewa piąte przykazanie boskie!

— Psiepraszom, panu profesorze, ja poczebuję bicz wolnomyszlny!

Łatwo zgadnąć.

— No i powiadasz, że Jan ożenił się na podstawie anonsu w gazecie? Jakże też żyją obydwoje ze sobą?

— Nie mam pojęcia, to tylko wiem, że na drugi tydzień po ślubie przestał prenumerować tę gazetę, choć przez kilkanaście lat nie mógł się, jak sam powiadał, bez niej obejść!

Z paryskich rozmów.

— Słyszałeś, znowu się zastrzelił jeden z przyjaciół aktorki Cassive? I to do tego w jej własnem łóżku!

— A jakiż powód?

— Prawdopodobnie zawód w miłości...

— Co?... Zawód w miłości... w jej własnem łóżku... a czegóż do dyabła ten dureń jeszcze chciał więcej?...



— Gdziebym mógł z panią pomówić tak, aby nam nikt nie przeszkadzał?
— No, chyba u pana w domu.